

Od autora: Konstrukcja opowiadania jest odrobinę eksperymentalna, ponieważ nie została w nim zachowana kolejność chronologiczna wydarzeń. Utwór przedstawia pojedyncze sceny z życia bohaterów, kluczowe dla ich losów. Miejsca, w których rozgrywa się akcja, są fikcyjne.

I

8 maja 2013, późny wieczór

Jak myślicie, gdybyście spotkali człowieka chorego psychicznie, to czy poznalibyście od razu, że jest obłąkany? Nie chodzi mi o pacjenta zakładu psychiatrycznego, który twierdzi, że jest Mesjaszem, albo o chorego na autyzm dzieciaka, którego rodzice muszą prowadzić za rękę, żeby nie wpadł pod pierwszy lepszy samochód. Wyobraźcie sobie niedogolonego faceta koło trzydziestki. Mężczyzna leży na ziemi i prosi Was, żebyście wezwali karetkę. Czy w pierwszej chwili przyszłoby Wam na myśl, że ten człowiek jest chory psychicznie? Wątpię. Najpierw poczulibyście, że serce bije Wam szybciej. Zaraz potem zaczęlibyście się zastanawiać, co dolega nieznajomemu. Jeżeli mieliście kiedyś – w szkole albo na jakichś zajęciach – kurs pierwszej pomocy, to próbowalibyście go sobie przypomnieć. Ale w pierwszej chwili nie zwrócilibyście uwagi, że facet leży w dziwnej pozycji: na boku, z rękami złożonymi jak do snu. Nie zastanawialibyście się również, dlaczego nieznajomy, pomimo szorstkiego chłodu wieczora, jest tak lekko ubrany. Albo dlaczego nie krzyczy z bólu, tylko kulturalnie prosi, żeby zadzwonić po karetkę. Owszem, takie rzeczy się zauważa, ale dopiero po czasie. W pierwszej chwili jest tylko strach.

Martyna pracowała w niewielkiej jednostce sieci Tesco. Wracając z pracy, szła alejką za szeregiem kamienic. Właśnie tutaj zaczął ją tajemniczy mężczyzna.

Wygrzebała telefon z torebki i odblokowała klawiaturę. Błysk wyświetlacza trzasnął ją w oczy. Zabolalo. Żrenice zdążyły już przyzwyczać się do ciemności – wieczór był pochmurny, a najbliższa latarnia stała przy ulicy, dwadzieścia metrów dalej.

– Trzy dziewiątki, tak? – zapytała. W takich momentach zdarza się, że nawet wyuczone od dziecka numery alarmowe wypadają z głowy.

– Uhm... – mruknął mężczyzna. W ciemnościach widać było tylko zarys jego sylwetki oraz luźną koszulę, którą miał na sobie.

Drżącą ręką wybrała numer i przystawiła komórkę do ucha. Sygnał pomieszał się z warkotem samochodów. Potem zabrzmiał głos dyspozytorki.

– Pogotowie ratunkowe, słucham.

– Halo, dobry wieczór – powiedziała kobieta. – Ja się nazywam Martyna Amelska, jestem w Brzelinie i... i jakiś mężczyzna mnie zaczął, jak wracałam ze sklepu, i prosił, żeby zadzwonić na pogotowie, bo się strasznie źle czuje, i...

– Proszę pani, czy ten mężczyzna jest przytomny?

– Tak, przytomny.

– W porządku. Jest pani w Brzelinie, tak?

– Aha. Niedaleko ulicy Słowackiego.

– A dokładniej?

– Za bardzo się nie orientuję... Jestem na takiej alejce...

– Ale ja nie mogę wysłać karetki na „taką alejkę” – przerwała jej dyspozytorka. – Proszę podejść do jakiegoś budynku i sprawdzić adres.

– Okej.

Martyna powędrowała w stronę ulicy.

– A, proszę pani, czy ten mężczyzna mówił, co mu konkretnie dolega? – pytała w międzyczasie kobieta z pogotowia.

– Właśnie nie. Powiedział tylko, że strasznie źle się czuje i już nie może wytrzymać. I żeby wezwać pogotowie.

– Ale widać po nim, żeby był ranny?

– Nie, raczej nie. Tylko leży na ziemi i się nie rusza.

Martyna zahaczyła butem o wystającą kostkę brukową. Z trudem utrzymała równowagę – mało brakowało, a runęłaby jak ścięte drzewo.

– Mówił, jak się nazywa? – spytała dyspozytorka.

– Nie, nie mówił.

– Zaraz... Powiedziała pani, że to ulica Słowackiego, tak? To jest na osiedlu Lipowym?

– Tak, na Lipowym – odparła, wkraczając na chodnik. Ciemność alejki pozostała za jej plecami. Obok Martyny przeszedł chłopak z wielkimi słuchawkami na uszach. Na ulicy mijały się samochody. Z przystanku po drugiej stronie właśnie odjeżdżał autobus.

– No, my tu mamy na Lipowym takiego jednego świra, co kładzie się i udaje, że coś mu jest.

– Ale jak to świra?

– Normalnie, proszę pani. Koleś jest trochę nie tego.

Wtedy Martyna skojarzyła to, na co nie zwracała uwagi w pierwszej chwili.

– Kurczę – powiedziała. – Teraz sobie pomyślałam, że ten koleś trochę dziwnie się zachowuje jak na chorego. To może być ten... obłąkaniec, o którym pani mówi.

– Bardzo prawdopodobne. I co? Znalazła pani adres?

– Tak. – Popatrzyła na tabliczkę, wiszącą nad drzwiami domu. – Słowackiego pięćdziesiąt cztery.

– Pięćdziesiąt cztery – powtórzyła dyspozytorka. – W porządku. Proszę poczekać. Karetka zaraz wyjedzie.

– Okej.

Martyna wrzuciła telefon do torebki i wróciła do nieznajomego. Szpital znajdował się niedaleko, więc pogotowie raz-dwa powinno przyjechać.

Mężczyzna wciąż leżał w tej samej pozycji. Brakowało tylko poduszki, a można by pomyśleć, że ucina sobie tu drzemkę.

– I co? – zapytał cicho. – Przyjadą?

– Przyjadą – odpowiedziała Martyna. – A tak w ogóle, co pana konkretnie boli?

Nieznajomy długo nie odpowiadał. Westchnął kilka razy, przełknął ślinę i dopiero potem wydusił:

– Strasznie mnie kłuje w klatce piersiowej. Ledwo mogę oddychać.

– Aha.

Włożyła ręce do kieszeni. Nie miała pojęcia, jak jeszcze mogłaby pomóc. W końcu powiedziała:

– Chyba nie powinien pan leżeć na zimnym. Może da pan radę wstać i oprzeć się o mur? – Skinęła na pozabawioną okien ścianę kamienicy, do której przylegał wysoki płot.

Mężczyzna znowu westchnął.

– Nie, lepiej nie.

– Może pan czegoś potrzebuje?

Na te pytanie już nie usłyszała odpowiedzi.

– A jak się pan nazywa? – zapytała po chwili. – Oczywiście, jeśli można wiedzieć... Ta kobieta z pogotowia pytała, jak się pan nazywa, ale pan się nie przedstawił, więc...

– Arkadiusz Łomczyk. A pani?

Martyna przygryzła wargę. W uszach wciąż pobrzmiwały jej słowa dyspozytorki o „świrze”. Co, jeśli nieznajomy naprawdę jest chory umysłowo? Tacy ludzie bywają niebezpieczni. Na wszelki wypadek zmyśliła nazwisko.

– Martyna Kowalewicz – powiedziała.

Wtedy ostra myśl przecięła jej głowę. Przedstawiała się, gdy zadzwoniła na pogotowie. Zdradziła wówczas swoje prawdziwe nazwisko. Spojrzała ukradkiem na pana Łomczyka. Mężczyzna nic nie mówił. Może nie skojarzył faktów? A może w ogóle nie słuchał, jak rozmawiała z dyspozytorką? Tak czy siak,

ciągle leżał nieruchomo, z głową wciśniętą w bruk.

Z sekundy na sekundę Martyna czuła coraz większy lęk przed tajemniczym mężczyzną.

Alejką przejechał rowerzysta w kamizelce odbłaskowej. Zauważył człowieka leżącego na ziemi, ale nie zainteresował się nim zbyt. Nieraz w tym miejscu obradowały menele i niejedno z ich posiedzeń kończyło się „zgonem” któregoś z uczestników.

W momencie, kiedy rowerzysta wyjechał na ulicę, do uszu Martyny dotarło wycie syren. Karetka przyjechała dwie lub trzy minuty później. Zatrzymała się obok domu, na końcu alejki, stając lewymi kołami na chodniku.

– Oho, są – powiedziała Martyna i potruchtała do karetki.

Z ambulansu wysiedli dwaj ratownicy medyczni.

– Dobry wieczór – powiedziała Martyna.

– Dobry – odparł jeden z ratowników. Miał co najmniej dwa metry wzrostu, ale był chudy i wąski w barkach jak kobieta przeciętnej postury. – Pani wzywała pogotowie?

– Ja. Ten pan leży tam – wskazała palcem miejsce, gdzie czekał mężczyzna. Nie dało się go stąd zobaczyć.

– Janek, masz latarkę? – ratownik zwrócił się do swojego kolegi, człowieka o wiele niższego, ale bardziej masywnego, z zarostem w stylu Johnny'ego Deppa.

Janek w odpowiedzi pstryknął latarkę. Poszli przez alejkę.

– Mówił, jak się nazywa? – zapytał wysoki.

– Arkadiusz Łomczyk.

– Jak? – brodaty odwrócił się do Martyny. – Łomczyk? Co pani? Jaja sobie pani robi?

– Ale jak to...

Wysoki uśmiechnął się.

– My go dobrze znamy, proszę pani – powiedział.

Ratownik imieniem Janek przyspieszył i pierwszy dotarł do leżącego mężczyzny.

– Łomczyk! – krzyknął, świecąc mu w oczy. – Czy ty dasz sobie w końcu spokój?

– Ja... ja... ja się źżżle czuję – wyjąkał Arkadiusz Łomczyk, zgrzytając zębami.

– A kiedy ty się dobrze czuleś? Ej, Dawid! Patrz, skubany jeszcze ma na sobie szpitalną pizamę!

– Oj, Łomczyk, Łomczyk... – Dawid pokręcił głową.

Martyna spojrzała na niego, zadzierając głowę.

– O co tu chodzi? – zapytała. – Pani z pogotowia mówiła mi przez telefon, że jest tu taki człowiek, który udaje, że jest chory, ale...

– Naprawdę nie słyszała pani o Łomczyku?

Martyna zaprzeczyła.

– Widzi pani, to jest taki czubek, który ma za dużo wolnego czasu i wpada na głupie pomysły. Zaczepia przechodniów i prosi, żeby wezwali pogotowie. No to my przyjeżdżamy, zabieramy go do szpitala. A on co? Ucieka. Poleży chwilę na sali, a potem wieje.

– Ja się... ja się źle czuję – powiedział mężczyzna w pizamie.

– Tak? A co cię boli? – zapytał Janek, machając latarką.

– Głowa.

– Mi mówił, że kłuje go w piersiach – powiedziała Martyna.

– Taa – Janek uśmiechnął się. – Chyba w dupie.

– To jest czubek, proszę pani – mówił wyższy ratownik, Dawid. – Czasami bywa agresywny. Raz nawet szarpał się z lekarzem, jak ten chciał go zatrzymać przed ucieczką. – Przykucnął nad leżącym mężczyzną.

– Ty, Janek, co on taki siny na twarzy?

– Poleżał trochę na zimnym bruku, to i posiniał.

– Co z nim robimy?

Arkadiusz Łomczyk zaczął trząść się jeszcze bardziej. Ręce latały mu w górę i w dół, a głowa kołysała się, jakby kiwał nią w rytm muzyki, i to szybkiej muzyki – co najmniej 150 BPM.

– Pomóżcie mi... – jęknął.

– Janek, trzeba coś z nim zrobić, bo się jeszcze przekręci.

– Przekręci? Ciekawe od czego. Trzęsie się, bo mu zimno, a oprócz tego wszystko z nim w porządku.

– Ale zostawić go tutaj też nie możemy. – Ty – Dawid szturchnął pana Łomczyka w bark. – Popatrz na mnie. Gdzie mieszkasz?

Mężczyzna nie odpowiedział.

– Gdzie mieszkasz, pytam!

– Ja... ja... ja ź ź ź źle się czuję.

Janek uśmiechnął się.

– Ja-ja, to on sobie z nas robi – powiedział. Następnie spojrzał na Martynę. – Pani wie, gdzie on mieszka?

– Skąd! Pierwszy raz w życiu spotykam tego człowieka.

Tymczasem wyższy ratownik złapał Łomczyka za ramię i próbował go podnieść.

– Wstawaj, Łomczyk, zaprowadzisz nas do domu.

Siny mężczyzna przylgnął biodrami do bruku. Ani myślał wstawać.

– Daj spokój, Dawid. Z nim się nie dogadasz.

– No to co zrobimy?

– Ja to bym zadzwonił do psychiatryka. Niech sobie z nim robią, co uważają.

– E tam. Facet nie jest agresywny, więc siłą do psychiatryka zaciągnąć go nie mogą.

– Jak to nie jest agresywny?! – Janek tak gestykulował, że prawie upuścił latarkę. – A jak w szpitalu szarpał się z lekarzem?

– Ale teraz jest spokojny. Nie da się tego tak załatwić. Co innego, gdyby sam chciał się leczyć... – Dawid pokręcił głową. Trzeba go wieźć do szpitala.

– Co? Człowieku, ostatnio karetka codziennie do niego wyjeżdża!

– A co innego zrobisz?! Mówiłem ci, nie możemy go tutaj zostawić. Zawieziemy go do szpitala, a tam go przypilnują, żeby nie uciekł. Zadzwoni się do wariatkowa i niech psychiatrzy zdecydują, co dalej z nim robić.

Janek westchnął.

– Ech, Łomczyk. Jakbym mógł, to bym ci z chęcią do dupy nakopał. Ludzie chorują, mają wypadki, a my zamiast do nich, to tylko do ciebie wyjeżdżamy. Wstawaj!

Arkadiusz Łomczyk nie wysłuchał polecenia. Powtórzył tylko swoją kwestię, że się źle czuje.

– Dobra, Dawid, bierzemy do za fraki. Pani nam poświeci, dobrze? – Podał latarkę Martynie.

Ratownicy chwycili mężczyznę za ręce i nogi, i ponieśli go w stronę ambulansu. Martyna odprowadziła ich, a potem, gdy usadzili Arkadiusza Łomczyka w karetce, zapytała:

– Czy ja mogę już iść?

– Oczywiście – odparł Dawid, ten wyższy ratownik. – Do widzenia pani.

Przeszła przez ulicę. Na przystanku autobusowym siedziało trzech nastolatków z piwem.

– Do kogo przyjechała ta karetka? – zapytał jeden z nich, poprawiając kaptur na głowie.

– Jakiś facet zasłabł – skłamała Martyna. Nie miała ochoty o tym rozmawiać.

Minąwszy przystanek, ciągle myślała o mężczyźnie w szpitalnej piżamie. Widziała w wyobraźni jego siłą twarz, podkrążone oczy i usta wykrzywione w grymasie... W grymasie czego? Bólu?

(Ja się źle czuję. Pomóście mi.)

Tak, ten człowiek czuł ból. Może i był obłąkany, ale Martyna dostrzegła cierpienie w jego oczach.

Wiedziała, że szybko go nie zapomni.

II

3 grudnia 2010, godzina 16.30

Szpitalny korytarz był szary, wąski i ciemny jak w zamczysku. Arkadiusz Łomczyk siedział na jednym z kilku krzeseł przy ścianie. Patrzył na swoje paznokcie. Niektóre zrobiły się bardzo małe, a końcówki podeszły krwią.

„Zaraz dogryzę się do kości” – pomyślał.

Gruczoły potowe pracowały coraz mocniej, nawilżając rozgrzaną skórę. Powachlował sobie ręką przed nosem, potem rozpiął guziki w mankietach koszuli i podciągnął rękawy. Czemu tu jest tak cholernie gorąco?

Drzwi sali nagle się otwarły. Na korytarz wyszła położna w zielonym fartuchu – pani Eliza Kocerska.

– I co? – Arek zerwał się z krzesła.

– Musi pan jeszcze trochę poczekać – powiedziała.

Z sali dobiegł kobiecy głos. Nie był to krzyk. Raczej pojękiwanie osoby, która cierpi od dłuższego czasu i tyle się już nawrzeszczała, że teraz nie ma siły na nic głośniejszego.

Położna zamknęła drzwi sali porodowej.

– Mówiła mi to pani już z dziesięć razy – odparł Arek. – Ile, do cholery, to może trwać?

– Poród to skomplikowany proces. Rzadko bywa tak jak na filmie, że kilka minut i jest po wszystkim.

– Kilka minut?! Kurde, ja przywiozłem żonę o siódmej rano! To jest już... – spauzował. Siedząc pod salą, co chwila liczył, ile czasu jego żona przebywa w szpitalu, ale za każdym razem mylił się i przerywał obliczenia. Nie mógł się skupić. Jego myśli skakały z tematu na temat. – ...to już dziesięć i pół godziny. Nie. Dziewięć i pół...?

Zaczął liczyć na palcach, ale pani Kocerska powstrzymała go.

– Tak, dziewięć i pół – powiedziała. – I to nie jest wcale jakoś bardzo długo.

- Ale proszę mi powiedzieć, na pewno wszystko jest w porządku?
- Wydaje mi się, że tak...
- Wydaje się pani?!
- Spokojnie. Nie mamy powodów przypuszczać, że są jakieś problemy. Pańskie dziecko po prostu potrzebuje więcej czasu.

Arek starł pot z czoła.

- Czy to ma związek z tym, że Ania rodzi przed terminem? – zapytał po chwili.
- Raczej nie. Termin był na szóstego grudnia, tak?
- Tak. – Uśmiechnął się. Szósty grudnia, Mikołajki. Właśnie za sprawą tej daty postanowili z żoną, że dadzą synkowi na imię Mikołaj.
- Trzy dni to niewielka różnica, proszę pana. Czas porodu zależy od wielu czynników.

Arek zaczął przygryzać wargę, a właściwie nie przygryzać, tylko żuć, i to z taką agresją, jakby zamierzał oderwać ją siekaczami i wypluć do kosza.

- Przepraszam pana – powiedziała położna – muszę iść, porozmawiać z mężem.

Mąż położnej był lekarzem, który nadzorował poród. Nadzorował, chociaż niezbyt często pojawiał się osobiście na porodówce. To pielęgniarka co jakiś czas do niego chodziła, żeby się skonsultować.

Eliza Kocerska odwróciła się i odeszła. Zniknęła za rogiem, wchodząc na prostopadły korytarz.

Arek już chciał z powrotem siadać na krzesło, ale zawahał się. Postanowił, że pójdzie do szpitalnego bufetu. Co prawda nie po to, żeby coś zjeść – nie dałby rady niczego przełknąć. Chodziło o to, że w bufecie był ojciec Ani. Kiedy ten sympatyczny, wesółkowaty cukiernik dowiedział się, że jego córka rodzi, natychmiast przyjechał do szpitala i, razem z zięciem, cały czas czuwał pod salą. Teraz zgłodniał i poszedł coś zjeść, a zięć został sam na pustym korytarzu. I właśnie ta samotność w oczekiwaniu była najgorsza. Szybko stała się nie do zniesienia.

Minął skrzyżowanie z prostopadłym korytarzem, i szedł dalej prosto, aż do oszklonych drzwi. Za nimi znajdował się hol ze schodami. Na lewo od schodów były inne oddziały szpitala – izba przyjęć i oddział ratunkowy – a pomiędzy nimi recepcja, gdzie za stołem siedziała kobieta ze śmieszną grzywką do połowy czoła. Recepcjonistka patrzyła na starszego mężczyznę, który wypytywał ją o coś, obficie gestykulując rękoma. Kawalek dalej lekarz rozmawiał z kobietą, trzymającą za rękę kilkuletnią, zaniepokojoną dziewczynkę.

Po prawej natomiast znajdowało się kilka par drzwi. Jedne z nich prowadziły do bufetu. Zanim Arek tam wstąpił, zaszedł do toalety, mijając się z facetem w garniturze Hugo Bossa – tej firmy, co w latach czterdziestych szyła mundury dla Wehrmachtu. Arkadiusz stanął nad umywalką i ochlapał sobie twarz wodą, zimną wodą, bo kurek od ciepłej był urwany. Potem, patrząc na kran, myślał o samotności. Skoro on poczuł się samotnie, siedząc parę minut na pustym korytarzu, to jak musi czuć się Ania, która dziesiątą go-

dzinę leży na sali porodowej, mając kontakt tylko z położnymi i, od czasu do czasu, z lekarzem; która piętnastą godzinę nie rozmawiała z żadną bliską osobą i z nikim nie może dzielić swojego bólu.

Poszedł do bufetu. Przy kilku okrągłych, drewnianych stolikach siedziało całkiem sporo osób. Ogólnie wystrój pomieszczenia przypominał średniej jakości bistro. Panowała tu miła, luźna atmosfera. Jedynie odór, który krążył w powietrzu – pomieszane zapachy surówki, gotowanej kielbasy i kaszy gryczanej – kojarzył się raczej z peerelowską stołówką niż z restauracją.

Ojciec Ani siedział obok okna. Grzebał łyżeczką w kawałku ciasta, patrząc nań nieobecny wzrokiem. Drugą dłoń trzymał na filiżance z kawą. Zauważył zięcia dopiero wtedy, gdy ten stanął przy stoliku.

– Powinienem być teraz przy niej – powiedział Arek.

Teść uśmiechnął się.

– Przecież Anka nie chciała, żebyś był przy porodzie – powiedział, z tą swoją chrypką, która od zawsze brudziła jego głos.

– Nie chciała, ale... – położył ręce na oparciu krzesła. – Wiesz, tato, jak to jest. Pewnie myślała, że to potrwa krócej. Teraz na pewno jest wyczerpana i może chciałaby, żebym jej towarzyszył.

– Nie wydaje mi się. Co ty, nie znasz Anki? Ona nie lubi, jak ktoś patrzy na jej cierpienie.

Arek westchnął.

– Nie mogę się doczekać, kiedy będzie po wszystkim.

– Siadaj – wskazał krzesło, o które opierał się zięć. – Napijesz się kawy?

Dopiero teraz, gdy tata Ani wspomniął o kawie, do Arkadiusza dotarł aromat tego napoju. Ponadto nozdrza wychwyciły woń kwiatów, stojących w wazonie. Zapachy walczyły w powietrzu. Obskurna stołówka ścierała się z elegancką kawiarnią.

– Dziękuję, i bez tego mam stan przedzawałowy – odparł, siadając na krześle. – Jakim cudem to może trwać tak długo?

– Poród? Uwierz, że może. Zośka, moja żona, też nieźle męczyła się z Anką, zanim ją urodziła. Wiesz, to sprawa genetyki. Dziewczyny w naszej rodzinie zazwyczaj mają nie za duże miednice.

Arek pokręcił głową.

– Mam złe przeczucia.

– Przestań – uspokajał go teść, wcinając ciasto. Uwielbiał słodkie. Pewnie dlatego został cukiernikiem. – Pamiętam, jak dwadzieścia siedem lat temu ja byłem na twoim miejscu. Też się tak denerwowałem. Ale w końcu Zosia urodziła i wiesz co? To była najcudowniejsza chwila w moim życiu. Nie potrafię opisać, jak się wtedy cieszyłem. Teraz ciebie czeka coś takiego. A raczej nas. Jak sobie pomyślę, że za jakiś czas zobaczę mojego wnuczka... – Zacisnął szczękę. Kąciki ust pozostały nieruchome, ale mokre oczy uśmiechały się szeroko.

– Tak długo staraliśmy się z Anią o dziecko... – powiedział. – Ale Ania nie mogła zajść w ciążę. Myślałem, że coś ze mną jest nie tak, robiłem nawet badania, ona zresztą tak samo... Już nawet zaczęliśmy myśleć o in vitro. Ale pewnego dnia powiedziała, że zrobiła test i że będziemy mieli dziecko. Strasznie się wtedy cieszyliśmy... – Przygryzł paznokcia. – Dlatego teraz jestem taki niecierpliwy. I, nie ukrywam, trochę się niepokoję.

Zadzwonił telefon. Ojciec Ani wyjął komórkę z kieszeni.

– To Zośka. – Odebrał. – No cześć, kochanie! Słucham? Nie, jeszcze nie. Ha ha, tak, to u was rodzinne. Ile ty się męczyłaś z Anką? Prawie całą dobę, co nie? Co? Arek? Dobrze. To znaczy, niecierpliwi się, wiadomo, ale nie jest tak bardzo...

Arek wyłączył się. Nie słuchał już teścia. Nie docierały do niego odgłosy rozmów z innych stolików. Nawet jego nos przestał zwracać uwagę na wojnę zapachów. Młody mężczyzna myślał o swojej żonie. Myślał, że Ania jest teraz samotna. Myślał, że powinien przy niej być.

Miał złe przeczucia.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Heisenberg, dodano 17.07.2014 18:56

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.